

simy być przekonani, pisał Wincenty, że służąc im świadczymy sprawiedliwość, a nie miłosierdzie”. Myślę, że także w tym znaczeniu Jan Paweł II podkreślił w homilii kanonizacyjnej, że Brat Albert „nie był tylko ‘miłosiernikiem’. Stał się jednym z tych, którym służył. Ich bratem. Szary brat”.

Benedykt XVI w tegorocznym orędziu na Wielki Post ukazywał różne wymiary sprawiedliwości. Chrześcijańska sprawiedliwość to nie wypłacanie tego, na co człowiek sobie zasłużył, lecz raczej to, czego człowiek naprawdę potrzebuje. A w świetle Ewangelii człowiek potrzebuje i należą mu się rzeczy tak wielkie, że nigdy nie wystarczy mu to, na co sobie „zasłużył”. Przecież jako Boże dziecko potrzebuje samego Boga! To jest to, o czym Wojtyła mówi w *Bracie naszego Boga* – żeby mieszkańcy ogrzewalni zaczęli *chcieć więcej*. To jest sprawiedliwe: żeby zaczęli chcieć więcej, bo stworzeni są do takich dóbr, które należą się Bożym synom. Pan Bóg darował nam dziecięstwo Boże i w tym znaczeniu nam się ono należy. Chrześcijańskie miłosierdzie tutaj spotyka się ze sprawiedliwością: sprawiedliwe jest wszystko, co się należy człowiekowi jako dziecku Bożemu. W tym znaczeniu Bratu Albertowi należy się to samo, co bezdomnym. Bezdomnym należy się to samo, co Bratu Albertowi. Nikt się tu nie zniża, co najwyżej *jest poniżony*. I sprawiedliwe jest takie miłosierdzie, które przywraca właściwy obraz rzeczy: „on jest *synem*... i on... i on... tak jak ja”.

cdn.



BRAT NASZEGO BOGA

ks. Karol Wojtyła

„Tak, tak. Ale wy chcecie coś więcej. On czegoś więcej chce - i on... i on... Ja już wiem. Tak, tego, co wy chcecie – to jest słuszne, najszlachetniejsze. Właśnie o to chodzi. Właśnie o to chodzi, abyście tego chcieli. Nie mieć się za wyrzutków, wydobyć się z tego trzęsawiska. Tak, to jest słuszne... najszlachetniejsze. Ale dlaczego domagacie się tych rzeczy ode mnie? Oczywiście, to byłoby jedyne rozwiązanie. Jedyne ludzkie zatratwienie sprawy – Ale dlaczego ode mnie?! To za wiele. To za wiele. [...]

...rzeczywiście, wy już więcej nie chcecie, ale On... wystarczyło jedno słowo. Ktoś z was wypowiedział jedno słowo, jedno zdanie... i wystarczyło... Wiem, że On chce... [...]

Bo ja - to prawda - ja chciałem się wykupić... tu jakieś palto, tam jakiś bochen chleba, tu ktoś na nocleg... A to wszystko nic nie znaczy... bo tak zostają ciągle dziady, łachmaniarze, ulicznicy... [...]

- A mają powstać bracia! [...] A mają być bracia! [...]

Bo tu chodzi o człowieka - takiego jak ja - a który stał się synem...”

Odpowiedzialni: s. Agnieszka Koteja, a-koteja@tlen.pl [0-12/413-55-99]
br. Marek Bartoś, bratmarek.alb@zakon.opoka.org.pl [0-12/42-95-664]

Którędy



6
(54)
2010

MIŁOSIERNY, KTO MIŁOSIERDZIA DOSTĄPIŁ [CZ. 1]

Najczęściej mówimy o Bracie Albercie jako o człowieku, który świadczył miłosierdzie ubogim. Może jednak zbyt mało znamy go jako człowieka, który sam miłosierdzia dostąpił. Jestem przekonana, że nie ma autentycznie chrześcijańskiego miłosierdzia bez żywej świadomości, że sami potrzebujemy miłosierdzia. Z Bożego miłosierdzia istniejemy, z Bożego zmiłowania możemy stać przed Bogiem, z Bożej łaski dane jest nam się modlić i czynić cokolwiek dobrego. Świadczenie miłosierdzia jest naturalnym owocem osobistego doświadczania siebie jako osoby, która doznała miłosierdzia.

S. AGNIESZKA KOTEJA
MIŁOSIERNY, KTO
MIŁOSIERDZIA DOSTĄPIŁ

Spotkanie w karmelitańskim Centrum Kultury Duchowej „Communio Crucis”, 23 maja 2010.

/Wykład połączony był z wieczorem poetyckim – poniższy artykuł to zarys wykładu/

Jan Paweł II w *Vita consecrata* mówi o ludzkiej słabości, którą posługuje się Bóg. Posłużył się nią w Adamie Chmielowskim, tak jak chce się nią posłużyć w każdej osobie konsekrowanej. To uprawnia do dawania świadectwa o doznany miłosierdziu, ale też do takiego świadectwa zobowiązuje. Sądzę, że to zobowiązanie dotyczy każdego chrześcijanina – a szczególnie każdego, kto chce się uczyć miłosierdzia od św. Brata Alberta. Ojciec Święty mówi: „Pierwszym zadaniem życia konsekrowanego jest ukazywanie wielkich dzieł, jakich Bóg dokonuje w ułomnej ludzkiej naturze osób powołanych” (VC 20). W ułomnej! – gdyby nie była widoczna słabość i ułomność, nie zajaśniałaby też wielkość Bożego dzieła. Nie będzie miłosierny człowiek, który nie przekonał się na własnej skórze o swej ułomności. To doświadczenie własnej słabości co prawda nie powoduje bycia miłosiernym, ale jest warunkiem koniecznym zdrowego świadczenia miłosierdzia względem innych.

W dalszym ciągu dokumentu czytamy: „Oglądam piękno Twojej łaski, podziwiam jej blask, a jej światłość odbija się we mnie; zachwycam się jej niewypo-

wiedzanym splendorem; zdumiewam się niezmiernie, myśląc o sobie; widzę, kim byłem i kim się stałem. O cudzie! Oto stoję pełen szacunku dla siebie samego, czci i bojaźni, jakby przed Tobą samym; tak onieśmielony, że nie wiem nawet, co czynić, gdzie usiąść, dokąd się udać, gdzie pozwolić spocząć członkom tego ciała, które należy do Ciebie, do jakich użyć je czynów i dzieł, bo przecież są Boskie”. Jest to cytat z pism Szymona Nowego Teologa, mistyka żyjącego w Konstantynopolu na przełomie X i XI wieku, o którym w zeszłym roku Benedykt XVI nauczał podczas audiencji generalnej (16.09.2009). Ojciec Święty opowiedział, że Szymon miał wizję – widział światło, które wydawało się pochodzić od Chrystusa, ale lękał się, że może to być złudzenie. Później ukazał mu się sam Jezus i zapewnił, że można zaufać tej łasce, ale Szymon nadal nie był pewny. Wreszcie przyszła następująca łaska: mnich „poczuł się jak **«ubogi, który kocha braci»** (*ptochós philádelphos*). Widział wokół siebie wielu wrogów, którzy chcieli go usidlić i skrzywdzić – mówił dalej Ojciec Święty – a mimo to czuł w sobie wielki przyływ miłości do nich. Jak to wytłumaczyć? Było oczywiste, że ta miłość nie mogła pochodzić od niego samego, ale musiała wypływać z innego źródła. Szymon zrozumiał, że pochodziła od obecnego w nim Jezusa, i wszystko stało się dla niego jasne: uzyskał pewny dowód, że źródłem miłości w nim była obecność Chrystusa”.

Tak więc tym, co przyniosło Szymonowi pokój, było poczucie się „ubogim, który kocha braci”. Fantastyczne jest to połączenie miłości bliźniego z doświadczeniem własnego ubóstwa. Szymon zmarł w 1022 roku w Kościele wschodnim, na pewno nie znał go ani Franciszek, ani Brat Albert, a czyż w ich życiu nie zrealizowało się to właśnie poczucie? To podobieństwo doświadczenia u ludzi żyjących w tak różnych czasach i tradycjach wskazuje na uniwersalność tego doświadczenia. Czyż nie wystarczyłoby, aby Szymon poczuł, że kocha braci? – otóż nie, najpierw jest zderzenie z własnym ubóstwem, i wtedy dopiero naprawdę kocha się braci – nawet tych, którzy chcą „usidlić i skrzywdzić”.

Z katechezy Ojca Świętego dowiadujemy się, że Szymon mógł w taki sposób kochać braci tylko dlatego, że „źródłem miłości w nim była obecność Chrystusa”. Nasuwa się więc natychmiast pytanie, czy obecności Chrystusa nie można doświadczyć bez tego poczucia bycia ubogim? – Życie Franciszka i Alberta mówi, że kochali ubóstwo i robili wszystko, co w ich mocy, by go nie tylko nie stracić, ale właśnie pogłębić i wciąż pogłębiać. Brat Albert żył skrajnie ubogo, ale to mu jeszcze nie wystarczało – brał do ręki *Drogę na Górę Karmel* św. Jana od Krzyża i robił rachunek sumienia ze wszystkiego, co jeszcze jakoś posiadał, rozliczał siebie z każdego przywiązania i pożądania: „jedzenie dobre, tabaka, sen. [...] Mówiłem o wszystkich okropieństwach i zdaje się, że miałem upodobanie w tych mowach i zem ich szukał – albo je wołał niż inne” (*Notatnik rekolekcyjny*). W 1908 r., gdy miał 63 rok życia, a więc na 8 lat przed śmiercią, sprawdzał siebie:

„Umartwienie, jakie? – namiętności – zmysły,
Język – w gniewie – w milczeniu, kiedy jest ochota mówienia.
Oczy – nie przypatrywać się osobliwościom.

Uszy – próżne mowy, lekkie słowa, obmowy.

Pozbawiać się wszystkiego, czego się pożąda.

Pasek, dyscyplina? twarde łóżko? Tabaka”.

To uparte ogałacanie się ze wszystkiego byłoby masochizmem, gdyby wcześniej nie było tego doświadczenia, które opisał Szymon Nowy Teolog: poznanie obecności Chrystusa, które zostaje potwierdzone poprzez takie poczucie ubóstwa, które rodzi przerastającą ludzkie siły miłość braci. Tak więc na drodze miłosierdzia mamy trzy elementy: spotkanie Chrystusa, poczucie własnego ubóstwa, miłość braci.

Dlatego właśnie, nieco prowokacyjnie, chcę postawić następującą tezę: Syn Boży stając się człowiekiem **uniżył** się, a Adam Chmielowski stając się Bratem Albertem się **nie uniżył**. Chrystus zbawił nas, stając się jednym z nas, i Brat Albert pomógł ubogim, stając się jednym z nich – ale jest zasadnicza różnica polegająca na tym, że Chrystus „będąc bogatym Z NATURY, dla nas stał się ubogim”, a Adam Chmielowski „zamieszkał wśród ubogich jak brat pośród braci”, ale Z NATURY był **taki sam jak** oni. Karol Wojtyła w *Bracie naszego Boga* pokazuje Adama, który odkrył, że to nie ubodzy mają iść za nim, lecz on podąży za nimi. Adam mówi z zachwytem, że nareszcie odkrył swój styl – i poprawia się: nie odkrył, lecz *zawdzięcza*. I czasem kusi takie proste przeniesienie, że tak jak Chrystus uniżył się dla nas, tak Brat Albert uniżył się dla nędzarzy. Ale Wojtyła mówi o *zawdzięczaniu* swego „stylu”, a nie o ścisłej analogii. Człowiek, który rezygnuje z ludzkich pozorów wielkości tak naprawdę się nie zniża, on tylko staje w prawdzie! – bo prawda jest taka, że sam z siebie nie stoi ani centymetr „wyżej” od innych ludzi, choćby to byli bezdomni nędzarze.

Dlatego nie lubię tych zachwytnych nad Adamem Chmielowskim, że wytworny pan w pelerynie tak bardzo „zniżył się” do ubogich, że tak się „poświęcił”. Oczywiście, że nie jest łatwo porzucić swój standard życia na rzecz gorszego, ale gdyby on sam miał takie nastawienie, to by ubogich poniżał, a to jego „poświęcenie” zdradzałoby się w tonie głosu, w postawie, nie ukryłoby się poczucie wyższości. Tymczasem Brat Albert, który jako malarz był znawcą sztuki, a jako przewodnik duchowy zapoznawał się z nowymi podręcznikami teologii moralnej – czyli zawsze cenil poznanie intelektualne – umiał mówić do ludzi najprostszymi tak, że go dobrze rozumieli, a jedna z nowych postulantek, gdy przyszedł, pobiegła oznajmić siostrze, że „przyszedł jakiś dziadunio”... Wyczółkowski pisał, że na salonach Brat Albert po francusku gada, bawiąc towarzystwo, a „perełki” po nim skaczą... – w Bracie Albercie nie było żadnego zniżania się, on był tym, kim był, obojętnie gdzie był. (Myślę, że jako albertynki przeżywamy wiele razy to poczucie zasadniczej „równości natury” z innymi ludźmi – z tymi, którym posługujemy).

Dlatego też nie lubię słowa „miłosierdzie” używanego w taki sposób, że kojarzy się ze świadczeniem łaski osobie niżej postawionej przez osobę wyżej postawioną. Dla Brata Alberta, tak jak dla św. Wincentym a Paulo, w którym się rozczytywał, jego posługa była kwestią sprawiedliwości, a nie miłosierdzia – „Mu-